

Mariusz Jochemczyk
(Katowice)

ŚLĄSKI ÓIKOS – NA RUBIEŻACH ŚWIATÓW

(...) *to nie w porządku; to bardzo nie w porządku nachodzić czyjś dom*¹

Mieszkam w dziwnym miejscu. Choć może lepiej byłoby powiedzieć – w dziwnym domu. Czasem nocą słyszę głosy widmowych lokatorów, zamieszkujących te mury jeszcze w czasach komunistycznej *prosperity*. Nawet po latach dobiegają mnie krzyki i szepty proletariackich nomadów, rozpoznają tęskne nawoływania chciwych i głodnych wrażeń przybyszów z prowincji, zwabionych przez syrenie śpiewy marksistowskich argonautów, nawołujących uparcie do poszukiwań złotego runa nikomu niepotrzebnej idei.

Przybyli tu gromadnie „po swoje”, czyli po – ekonomia aliteracji podpowiada – łatwe łupy. Nadeszli chwilę potem, gdy w sąsiednich powiatach dogasały ostatnie pogorzeliska Wielkiej Wojny. Zamieszkali tu tylko na chwilę, by porzucić to miejsce ochoczo z nadejściem kolejnych dziejowych roztopów. Jak poucza niestrudzony kronikarz tego osobliwego *locus*, nawiedzali je z równym zapałem – przez blisko czterdzieści lat – częstochowscy *medalikorze* i kieleccy chłopci, Pomorzanie i Polesianie, małorolni mieszkańcy Podlasia i odległej Suwalszczyzny². Stanowili barwną mozaikę ludzką, ogniskującą niczym w soczewce pogmatwane losy powojennej Polski. We wspomnieniowej relacji Krzysztofa Jastrzębskiego mozaika ta przypomina zresztą wschodni kobierzec, mieniący się tysiącami twarzy, losów, osobowości³.

W sąsiednich pokojach mieszkali bowiem bohaterowie ostatniej wojny i pospolici złodzieje, przedwojenni mistrzowie hutniczego fachu i pozbawieni skrupułów kryminaliści z bogatą przeszłością. Zresztą przewaga tych ostatnich kazała pobożnym sąsiadom myśleć o tym domu, jako „miejscu zarażonym” i „siedlisku wszelkiego zła” [MŚ, 238], a nawet ludzkiej „rzeźni” budzącej „grozę” [MŚ, 119]. Panował tu infernalny „hałas i harmider”, „w holu oraz na korytarzach pierwszego i drugiego piętra, snuło się wielu pijanych i hałaśliwych mężczyzn”, szczególnie „agresywnych i chamskich” [MŚ, 100]. W powszechnej opinii okolicznych autochtonów: zamieszkujące niniejszy budynek indywidualia „reprezentowały najniższą kategorię ludzi”, a Ślązacy (bo to oni stanowili bezpośrednie sąsiedztwo), jeśli zdecydowali się tu zamieszkać – „uchodzili za degeneratów społecznych” [MŚ, 160].

¹ A. Dubus III, *Dom z piasku i mgły*, przeł. M. P. Jabłoński. Warszawa 2002, s. 265.

² K. Jastrzębski, *Mój Śląsk*, w: tenże: *SOC wudejot. prl.*, Warszawa 2007, s. 155-159 i kolejne. W dalszej części szkicu operuję skrótem MŚ i odpowiednim numerem strony.

³ Prawie czterdzieści lat – to wystarczający odcinek czasu, by zwyczajny budynek śląskiego robotniczego hotelu (który mógł jednorazowo pomieścić 600 osób) stał się tymczasowym domem dla kilku tysięcy ludzi (każdego tygodnia przyjmowano 50-60 nowych lokatorów na miejsce tych, którzy odeszli z własnej woli lub zostali usunięci). Por. K. Jastrzębski: *Mój Śląsk...*, s. 155, 159.

Prawo negatywnego stereotypu działa nieubłaganie – w miejscowej legendzie przetrwały jedynie opowieści o wyrazistych szwarcecharakterach: lubieżnej Gerdzie, o sercu zimnym (niczym u Królowej Śniegu) i gorącym ciele radośnie zbierającym weneryczne żniwa [MŚ, 123-124], kieleckim Sultanie – „hotelowym zgrywusie o twarzy pełnej zagojonych” szpetnych ran, stanowiących pozostałości po ulicznych bójkach [MŚ, 251], czy terroryzującym całą wspólnotę klanie Dymków, złożonym – wedle reguł tradycyjnej baśni miejskiej – z ojca i trzech synów-osilków [MŚ, 117-118]. Do dzisiaj wspomina się – mogące stanowić osnowę taniego retro-kryminału – okoliczności tragicznej śmierci wyrzuconego przez okno milicjanta, nocne spacery cierpiącego na uporczywą insomnię emeryta hutniczego Dubocza [MŚ, 247], czy ekscesy związane z (kolekcjonującym w swoim pokoju stopy znalezionej przypadkowo przedmiotów) 80-letnim hajduckim patriarchą Józefatem [MŚ, 251].

Dla odmiany – nikt już nie pamięta o szlachetnych mieszkańcach domu: o starym Balwierz (wiernym żołnierzu pułkownika Zub-Zdanowicza „Zęba”), który przeszedł ze swoim dowódcą i Brygadą Świętokrzyską NSZ cały szlak bojowy jednostki [MŚ, 162]; o pochodzącym z Lidy, skazanym na 11 lat łagru sowieckiego Konstantym Strykowskim – partyzancie oddziału legendarnego generała Aleksandra „Wilka” Krzyżanowskiego [MŚ, 232], o „pierwszym walcowniku” Henryku Pabisie, który znał wszelkie tajniki sztuki metalurgicznej, pracując w pobliskiej hucie od wczesnych lat trzydziestych XX wieku.

Jak widać – jedni zniknęli w zbiorowej niepamięci, drudzy przetrwali w ludycznej anegdocie. Mimo to, z przykrością zauważam, że jeszcze do niedawna gorący ślad ich człowieczej bytności odcisnięty w murze tego osobliwego domu – z każdą upływającą chwilą staje się coraz bardziej problematyczny: traci swoje wyczuwalne ciepło i puls. Pełna zapału obecność moja i moich bliskich (nowych lokatorów? intruzów?) starannie unieważnia ich niegdysiejszy – żywiolowo oznaczony w architektonicznej topografii – byt. Bezpowrotnie zanikają tajemnicze dziecięce inskrypcje „skrzydła północnego”, wyryte na palonej cegle opasyłych ścian. Blakną hieroglify wspomnień odcisnięte przez lokatorów w mozole bezsennych nocy na porowatych sklepieniach nieśmiertelnych stropów Ackermana i Kleina, wietrzeje pismo zwierzęcych wydzielin utrwalone sympatycznym atramentem w rozlicznych korytarzach, na półpiętrach i w miejscu witającego kiedyś gości, a dziś żałośnie nieistniejącego *ahfartu*.

Odzierając opowieść z dziarskich metafor, można by rzec, iż – ślady ziemskiej obecności dawnych mieszkańców starannie unicestwił żwir i cement developerskich „przeróbek”: zacierających bezpowrotnie kształt architektonicznego pierwowzoru oraz smak i zapach wypełniającego ów „pierwowzór” – życia.

Klasykystyczny rzut niegdysiejszego budynku o delikatnie zarysowanych, spadzistych dachach – naznaczonych równym rzędem szpiczastych lukarnianych gniazd okiennych – odwoływał się ostentacyjnie (mimo proletariackiego adresu) do idei intymnych, sentymentalnych rezydencji, jak choćby – *toutes proportions gardées* – puławskiej siedziby Czartoryskich, odciskających w ziemi charakterystyczny kształt końskiej podkowy, „wyposażonej” w zasadniczy korpus główny pośrodku i dwa (w tym wypadku skierowane ku wschodowi) skrzydła boczne, okalające rozległy choć porosły skromną roślinnością dziedziniec. Ramiona budynku zwieńczone u swych dwóch końców bryłą swoistej kordegardy – strzegły zazdrośnie wstępu na obszerne podwórze, skrywające centralnie ulokowaną – choć zapewne nigdy nie działającą – niewielką fontannę.

Z przywołanej powyżej architektonicznej galanterii nie zostało właściwie nic. Ślady niegdyśszej (budynek oddano do użytku w roku 1954 – w zgodzie z projektem architektonicznym z roku 1951) technicznej maestrii i luksusu zatarły się gładko i bezpowrotnie (w III RP dzieła dokończyli miejscowi szabrownicy i miłośnicy „łatwego” złomu). Choć trudno w to uwierzyć, to jednak w porównaniu z okolicznymi zabudowaniami, pierwotnie:

miał on bajeczny wprost standard: centralne ogrzewanie, gaz, ciepłą i zimną wodę, sanitariaty wewnątrz (...). Nic dziwnego, że o miejsca w nowym budynku było początkowo bardzo trudno. [MŚ, 135]

Współczesny, geodezyjny obrys domu trzyma w ryzach już tylko żyły zrewitalizowanych instalacji wodno-elektrycznych, styropianową otulinę ceglanych ścian, smętnie płaski i rozległy – niczym lądowisko ratunkowego śmigłowca – dach oraz jawną mizериę, wypełniających nowe wnętrza współczesnych aranżacji i modnych dizajnów. Całość „udoskonalonej” kompozycji dopełnia zapadły w czeluście ziemi niegdyśszy dziedziniec, skrywający dziś wstydliwie (w konstrukcji podziemnego parkingu) kilka modeli wysłużonych samochodów.

Nakreślona powyżej diagnoza architektonicznej re-witalizacji staje się oczywistym znakiem estetycznej i duchowej de-witalizacji. Mimo to – jak zauważa Tadeusz Sławek – „siła miejsca”, swoista moc lokalnego *genius* (przemownie modulująca rytm egzystencji uważnych mieszkańców danego *locus*), zdaje się być odporna na przeemoc doraźnych retuszy, dokonywanych na żywej tkance świat-obrazu. Duch miejsca zdaje się „mówić” do mnie niejako „krypto-logicznie”, „z głębi”, spod powierzchni zmieniających się scenografii i wystrojów, budujących czasowy „pojemnik, w którym (może, niestety!) rozegrać się moja egzystencja”, jeśli nie będę zbyt uważny, jeśli zagubię epistemologiczną czułość i czujność. Wysłuchanie tego głosu (a może raczej: wsłuchanie się w niego) pozwala na odtworzenie prywatnej mitologii przestrzennej:

W doświadczeniu *genius loci* dokonują się dwie rzeczy: zostają jakoś szczególnie „ukierunkowane” przez daną przestrzeń oraz świat; miejsce nabiera teraz jakiejś specyficznej „grubości”. Obydwa te zjawiska spotkają się w chwili, w której czuję, że dana przestrzeń „odnosi się” do mnie, nie otacza mnie po prostu, lecz niejako „dotyka”, „wchodzi” we mnie, staje się elementem mojego ciała. Dokonuje się tu osobliwe połączenie snu i jawy, mitu i twardej rzeczywistości. (...) Przyglądam się danemu miejscu i widzę, że kształtuje ono moje życie, a nie jest jedynie pojemnikiem, w którym rozgrywa się moja egzystencja⁴.

To osobliwe połączenie „snu i jawy, mitu i twardej egzystencji” modeluje niepokojnie marszrutę moich kolejnych: spędzanych tu – dni i nocy. Miarowe uderzenia pneumatycznego młota (szczególnie dobrze słyszalne jesienią), wykuwającego mozolnie stal w pobliskiej, zaokiennej hucie Batory (dawna Bismarckhütte) – zmieniają się w dusznej malgienie onirycznych obrazów w wystrój lemnejskiej kuźni kulawego Hefajstosa, połyskują i pobrzękują powidokami październikowych *chalkejów* (ateńskich świąt kowalskich); rwany oddech nocnego snu zaczyna współgrać z wysiłkiem biegnących w ogniu pochodni uczestników tellurycznych *lampadoforii*.

⁴ T. Sławek, *Miasto zapomniane przez Boga i ludzi i fragment z Horacego*, w: *Genius loci. Studia o człowieku w przestrzeni*, pod red. Z. Kadłubka, Katowice 2007, s. 67.

Miejsce to zawłaszcza, „dotyka” i „odnosi się” do mnie także i wtedy, gdy w głosach chłopców kopiących na pobliskim szkolnym boisku przetarty *bal* – słyszę widmowe nawoływania i meczową „niemą wrzawę” dobiegającą z pobliskiej kolonii Johanki⁵ (dzieli mnie od niej wąski pas przemysłowego złomowiska).

To w tym miejscu zarosła trawą – niczym warszawska reduta Ordoną – skrywa się pod warstwą darni, przysłonięta prowizorką ogródków działkowych, dawna „reduta” śląskiego *fusbalu*: boisko jednego z najstarszych (rok powstania 1908) zespołów piłkarskich Górnego Śląska: *Bismarckhütter Ballspiel Club*. Losy przywołanego klubu to ciekawy przykład dziwnej i wcale nierzadkiej niegdyś na tym terenie ekumenii śląsko-polsko-niemieckiej, wyrażającej się zarówno w zastanawiającej symbolice klubowych barw (piłkarze wspomnianego BBC nosili czarne koszulki z biało-czerwonymi pasami), jak również w solidarnych gestach pojednania (z połączenia „niemieckiego” BBC i „polskiego” Ruchu Wielkie Hajduki wyłoni się z czasem bezpośredni poprzednik – wielokrotnego mistrza Polski w piłce nożnej – chorzowskiego Ruchu)⁶.

Jeśli rację ma Zbigniew Kadłubek, to „*genius loci* w czuły sposób zachęca [mnie] do uznania faktu, że człowiek jest częścią świata i ważnym skrzyżowaniem linii wszystkiego, co żyło, żyje i jeszcze się narodzi, zasieje, rozpleni”⁷. To otwarcie na bujność życia „siejącego się i pleniącego” niejako na grobach umarłych – rodzi świadomość istnienia swoistego pasa transmisyjnego bytów, odwiecznego łańcucha istnień: gdzie żyjący pozostają nie tylko w przestrzenno-duchowej komunii ze swoimi bliższymi i dalszymi poprzednikami, ale także gorliwie przygotowują MIEJSCE swoim następcom. Żyjąc na krawędzi, przecięciu, „skrzyżowaniu linii wszystkiego, co żyło, żyje i jeszcze się narodzi” powinienem zatem gościnnie przyjmować nie tylko każde jednostkowe istnienie (zarówno: rzecz, człowieka, roślinę, zwierzę), ale także jego ostentacyjny brak: dojmujące nie-istnienie.

W tym konkretnym (ucieleśnionym w okazałym kwartale chorzowskiego Starego Osiedla) *residuum* domowym, swoistym hajduckim *óikos* – muszę więc zmierzyć się zarówno z coraz słabszym śpiewem francuskich jeńców idących rankiem 1944 roku do przymusowej pracy, niedźwiedzim pomrukiem zamkniętym w dawnej nazwie własnej definiującej okoliczny teren (*Bärenhof*), jak i lamentem beznadziejnej, wyrobniczej pracy – dobiegającym z biedaszybu lokalnych dziejów.

Wszak w owym akustycznym zderzeniu (zachodzącym jednak zawsze „poza historię”, w jakimś mitycznym, wiecznym „teraz”) spleta się w jedno, w swoisty dźwiękowy Logos: tęskny „śpiew” wojennego niewolnika, zwierzęcy „pomruk” lasu, bluesowy „lament” sączący się z wnętrza węglorodnej ziemi.

To nieusuwalne znaki (czy może lepiej: stygmaty) tego (nie)-ludzkiego Starego Osiedla. Nieusuwalne, ale i trwale nieczytelne. Cóż bowiem za pieśń nucili rankiem 1944 roku moi galijscy sąsiedzi mieszkający (czy to dobre słowo?) po drugiej stronie ulicy – *La Madelon... Au bord de l'eau... La Barque D'Yves?* Trudno dociec – choć

⁵ Wedle ustaleń Ludwika Musioła, kolonia „powstawała od lat 70-tych [XIX wieku – przyp. M. J.]” i usytuowana była „na wschód od Kaliny, w pobliżu granicy Hajduk z [katowickim – przyp. M. J.] Załężem”. Por. L. Musioł: *Chorzów – Batory. Gmina i parafia. Monografia historyczna*, s. 61 [manuskrypt].

⁶ A. Gowarzewski, *Encyklopedia piłkarska FUJI*, Katowice 1995, s. 15,19,39.

⁷ Z. Kadłubek, *Esej o geniuszu miejsca z Rzymem w tle*, w: *Genius loci. Studia o człowieku w przestrzeni...*, s. 48.

wiem, iż śpiewem żegnali baraki KL Auschwitz III Arbeitslager, wychodząc czwórkami do pracy w dziale mechanicznym pobliskiej huty, produkującej „części do dział lotniczych i blachy pancerne” [MŚ, 134].

Podobną bezradność wykazuję, gdy wzywam na świadków niniejszej opowieści moich najbliższych sąsiadów – eterycznych i niknących w czasowych oparach początku ubiegłego wieku – nielegalnych *diggerów*. Tak zapracowanych, iż nie przeczuwających hekatomby zbliżających się wojen światowych. Tak zagrzebanych w ziemnych norach – że z trudem można domyśleć się ich rzeczywistej obecności. Mimo to zdają się ich dostrzegać: usuniętych i wykluczonych poza *limes* człowieczego świata (pracowali na rozległym obszarze nieużytków leżących poza obrębem miasta, którego kres stanowiła współczesna ulica Graniczna). Widzę ich grafitowe, „czarne” – *nomen omen* – twarze eterycznych mieszkańców industrialnego getta, którego mury bezpośrednio przylegały (przylegają?) do mojego (mojego?) domu:

Jeszcze w pierwszych latach XX wieku na południe od dzisiejszej ulicy Granicznej w stronę Kochłowic (...) rozmieszczone były liczne biedaszyby. W nich to najgorzej sytuowani mieszkańcy okolicy na własną rękę wybierali węgiel⁸.

Lament bezrobotnych hajduckich kopaczy tłumi dziś starannie jednostajny puls, pełzającej na południe miejskiej zabudowy. Jego niewyraźny pogłos wybrzmiewa może już tylko w partyturach wyblakłych fotografii. Jak choćby tej, prezentowanej obok – rejestrującej melancholijny takt beznadziejnej (*fajrantowej*) egzystencji „najgorzej sytuowanych mieszkańców okolicy”...



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-P-2420

Narodowe Archiwum Cyfrowe
 Sygnatura: 1-P-2420
 (Okolice Königshütte – lata 20. XX wieku)

⁸ J. Kurek, *Historia Wielkich Hajduk*, Chorzów Batory 2001, s.52.

Nędza ludzka, będąca nieodzownym wykwitem industrialnego postępu, „nakłada się” tutaj – chciałoby się powiedzieć: niepostrzeżenie – na sielskość niegdysiejszego śląskiego matecznika. Elegijna nuta ludzkiego losu podszyta jest tu zawsze sielskością nieodległej Arkadii: wykarczowane drzewa dawnej puszczy (porastającej jeszcze w wieku osiemnastym kartograficzny trójkąt, wyznaczony na mapie Johanna W. Wielanda i Mateusa Schubbartha (1736) punktami osad: Kochłowicz, Bukowin, Zalenie⁹) szumią cicho – nieobecne – nad głowami wyrobników kapitalistycznego świata.

Głos puszczy jest jednak zawsze ten sam i brzmi znajomo, więc także tutaj – na granicy dzisiejszego Chorzowa Batorego i rudzkich Radoszów, na obszarze zwanym od lat Niedźwiedzińcem – rozbrzmiewa znajomym poszumem:

Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisały jak zielone, gęste, niskie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
Dziwny, odurzający hałas! (...)

Na dole jak ruiny miast: tu wywrot dębu
Wysterka z ziemi na kształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw; w środek tarasu
Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Na pół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy gaśnie między lasem¹⁰.

Trudno orzec, czy dla owej przenikliwej ciszy (odgradzającej skutecznie od świata, w którym nieodmiennie panuje „dziwny, odurzający hałas” i nieprzebyta „ciemność”) panowie Bytomskiego Państwa Stanowego, hrabiowie Henckel von Donnersmarck ze Świerklańca, wybudowali u źródeł Kochłówek swą baśniową samotnię. Wszak to w owym leśnym ostępie, z początkiem XVII wieku powstał eksperymentalny i ekscentryczny folwark, z „oborami, gdzie hodowano niedźwiedzie”, folwark od którego nazwę wzięła cała sąsiednia okolica – *Barenhof*¹¹.

Być może mój dzisiejszy – opisywany tu – dom „z piasku i mgły”, choć „ogrodzony parkanem traw”, jest nieodmiennie niepokojącą „budowlą”, w której „środek tarasu zajrzeć straszno”? Jawi się wszak w mojej wyobraźni jako przyległy fronton (podwórze?), a może przestrzenny rewers dawnego *Barenhofu*, *Obozu Zagłady*, *Biedaszybu*, *Kuźni Hefajstosa*, *Mitycznej Areny*, *Baśniowego Hotelu*...

⁹ Por. G. B. Wolny, *Dzieje Radoszowa*, „Hajduczanin” 2005, nr 7, s. 10.

¹⁰ A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, w: tenże, *Dzieła*, pod red. J. Krzyżanowskiego, T. 4, Warszawa 1955, s. 103.

¹¹ Zob. A. Mańka, *Kronika Kochłowic i okolicy*, Bytom 1925, s. 7. A także: L. Musioł, *Z dziejów Kochłowic oraz przyległych miejscowości: Halemba, Bykowina, Kłodnica oraz Stara Kuźnica*, Katowice – Ligota 1966, s. 4. J. Kołodziej: *Nazwy terenowe Kochłowic*, w: <http://www.geniusloci.free.ngo.pl/Toponomastyka.htm> [dostęp on-line: 16.04.2011, godzina 00.01].

Nie tylko ze względu na swoją niegdysiejszą, ale i całkiem niedawną (użyłtarną) przeszłość – na zawsze pozostanie on dla mnie znakiem swoistego śląskiego *non-lieu*, stanowić będzie nieusuwalny rdzeń lokalnej sygnatury przestrzennej, oznaczającej topografię niewyraźną (nie-do-wyrażenia), kodującej architektonikę unikatowego – użyjmy celnej formuły Marca Augé – nie-miejsca¹². Może nawet ten drugi aspekt sprawy (hotelowa doraźność czasu PRL) jawi się bardziej dojmująco. Pamiętajmy, iż budynek wzniesiony pierwotnie jako hotel robotniczy, szybko stał się: *wulcem*, *wulcokiem*, *wultzhausenem*. Został opatrzony nazwą, która natychmiast zaczęła oznaczać niechęć, pogardę i lekceważenie, a finalnie (pewnie jako wynik leksykograficznego wstydu) nie znalazła miejsca w żadnym znanym mi słowniku: języków, etymologii, wulgaryzmów, brutalizmów, gwar¹³. Choć przecież źródłostw tego stygmatyzującego określenia nie stanowi specjalnej zagadki, a zasięg lingwistycznego oddziaływania nie ogranicza się do pojedynczej śląskiej gminy czy dzielnicy:

Często na Śląsku mówiło się o „wulcach”, czyli mieszkańcach hoteli robotniczych – tzw. „wulc-hauzów” (niem. *Wulzthaus*). Nigdy jednak nie wiadomo było skąd się wzięła ich nazwa. Zupełnie niedawno dowiedziałam się, że od Wilhelma Wultza – pomysłodawcy i pierwszego założyciela hoteli robotniczych.

Równie łatwo daje się ustalić, iż etymologiczne tropy nieomylnie wiodą do kadowickiej kolonii górniczej *Gische*, gdzie w pierwszych dekadach ubiegłego wieku zamieszkiwał wspomniany drobny inwestor. Dodajmy, że pomysł obrotnego pracownika kopalnianego – podjęty ochoczo przez innych – okazał się znakomicie trafiony i skutecznie rozwiązał problemy lokalowe, stojące przed właścicielami dynamicznie rozwijających się podówczas okolicznych branż – wydobywczej i metalurgicznej¹⁴:

¹² Tak myśl francuskiego badacza komentuje Karl Schlögel: „Życie wydaje się rozgrywać właśnie – i coraz częściej – miejscach, które Marc Augé nazwał *non-lieux*, nie-miejsca. To raczej punkty rozbiegu, prowizoria, miejsca nietrwale, niezdefiniowane, pozbawione trwałej formy. Nawet nie jest jasne, czy one takiej formy potrzebują; może wystarczy im forma pusta, z wolnym miejscem na spotkanie?” Por. tenże, *W przestrzeni czas czytamy. O historii cywilizacji i geopolityce*, przeł. I. Drozdowska i Ł. Musiał, Poznań 2009, s. 288.

¹³ Nie notują tych leksemów nawet dykjonarze śląskiej gwary. Milczy zarówno *Mały słownik gwary Górnego Śląska*, cz. I, Katowice 2000 (Autorki: B. Czastka-Szymon, J. Ludwig, H. Synowiec), jak też *Ilustrowany słownik gwary śląskiej*, Rybnik 2000 (Autor: M. Szoltysek). Nie notuje tego słowa Henryk Borek (por. tegoż: *Wśród śląskich nazw*, Opole 1991), ani *Słownik gwarowy Śląska* (pod red. S. Bąka i S. Rosponda, Opole, 1982), ani *Słownik etymologiczny gwary śląskiej* Bolesława Paździora (Siemianowice Śląskie 2007). Milczy także w temacie *Słownik polskich przekleństw i wulgaryzmów* Macieja Grochowskiego (Warszawa 2002). Rzeczony leksem i jego dwie definicje odnalazłem tylko na 314 stronie *Słownika gwar śląskich* Barbary i Adam Podgórskich (Katowice 2008).

¹⁴ Choć, jak to w życiu często bywa – rozwiązanie jednego problemu socjalnego, powoduje natychmiastowe odsłonięcie kolejnego. W swojej znakomitej książce (*Czarny ogród*) Małgorzata Szejnert z niejaką ironią zauważa, iż pomysł Wultza przyczynił się wprawdzie do rozwiązania kłopotów lokalowych inwestorów szukających taniej siły roboczej poza Śląskiem, sprawił jednak mnóstwo spustoszenia w kwestii „miejscowej moralności”, zmuszając tamtejszego proboszcza do wzmożonej buchalterii ludzkich poczęć. Tak prezentuje się owa kłopotliwa *oconomia divina* w optyce Autorki: „Wprawdzie nieślubnych dzieci nie brak w okolicy (odpowiadają za to głównie tak zwane wulcoki, mieszkańcy hoteli robotniczych, których zarządca nazywa się Wultz), mają one jednak niełatwy los – ksiądz Dudek odnotowuje ich status w księdze parafialnej”. Por. M. Szejnert, *Czarny ogród*, Kraków 2007, s. 74-75.

Na początku XX wieku Giszowiec był małą osadą z małymi domkami z ogródkami. Po zakończeniu I wojny światowej brakowało rąk do pracy. Werbowano więc pracowników do kopalń i hut. Kłopot był z mieszkaniami dla nich, stąd pracownik kopalni Wilhelm Wultz wynajął najpierw pomieszczenie z łózkami dla 6 osób. Podobno jego mieszkańcy na pytanie o adres – odpowiadali „U Wultza”. Następne pomieszczenia były już przeznaczone dla 40 osób, a po wzbogaceniu się założyciela – wybudował pierwszy dom noclegowy – wspomniany „wulc-hauz”. Domy noclegowe budowano coraz częściej. Również i po II wojnie światowej, gdy na Śląsk przyjeżdżali mieszkańcy innych regionów (tzw. „gorole”) nazywano ich „wulcami”. Sporo z nich osiedliło się na Śląsku na stałe zakładając rodziny. Pamiętam, że w naszym mieście [chodzi o Siemianowice Śląskie – przyp. M.J.] hotele mieściły się przy ul. Świerczewskiego, Dworcowej i na Sadzawkach. Obecnie określenie „wulc” wyszło z użytku (być może w innych śląskich miastach tak określa się jeszcze mieszkańców hoteli robotniczych?), podobnie jak i popularny do niedawna „gorol”¹⁵.

Być może rzeczywiście – żywe do niedawna: słowa, twarze, namiętności ludzi tamtej epoki trwale „wyszły z użytku” i pamięci współczesnych. Gdyby jednak tak nie było – stanowią one co najwyżej solidny budulec żywej i barwnej anegdoty, sycącej się silnym niegdyś antagonizmem „swoich” i „obcych”, „miejscowych” i tych których określało się pogardliwym mianem „wulców”, „wulców”, „werbusów”. W optyce „swoich” – w tym wypadku oddajmy głos znanemu malarzowi prymitywiście, urodzonemu w Giszowcu, członkowi „Grupy Janowskiej”, Erwinowi Sówce – dominuje bezlitosne wykorzystanie efektu „kulturowej paralaksy”, prowadzące najczęściej do ostentacyjnego szyderstwa, karmiącego się – właściwą „obcym” – nieznanymi języka i miejscowych realiów:

– My tych z Polski *durś robili za bozna. Godalimy: Podej mi tyn łon*. To było takie słowo-wytrych. Kto robił na dole dłużej, *wiedziol*, że potrzebny jest majzel albo łom. A oni nie. Roboty nie znali.

– *No pryndzjy, podej tyn łon*, poganiałiśmy.

A te *boroki* nie wiedziały, o co chodzi. *Boroki po szychcie* wchodziły do łaźni. Na łańcuszkach, podwieszane pod sufitem, wisiały brudne ubrania. Setki. Werbusy do łaźni i patrzyli w górę.

– Co to jest? – pytali.

– To rzeczy górników, którzy zginęli w kopalni – mówili im starsi¹⁶.

Erwinowi Sówce wtóruje wieloletni mieszkaniec katowickiego Nikiszowca, Rudolf Wróbel, odtwarzając realia późnych lat pięćdziesiątych:

W kopalni coraz więcej *werbusów* z całej Polski.

– Nie żyli z nami na osiedlu, *ino* w hotelu robotniczym, w *wulcoku*. Roboty *trza* ich było uczyć. Biedne były chłopaki, my im *sznitki* na dniówka przynosili – wspomina Wróbel.

– A śmiechu było, bo jak wsiadali do *szoli*, *to my godali: trzymej się chowie, bo zarozki bydzie zakrynt*. I oni się trzymali mocno, choć *szola* jak winda, jeździ *ino* góra-dół (...) ¹⁷.

¹⁵ R. Kubac, *Okruchy minionych lat. Część 2*, „Siemianowicki Rocznik Muzealny” 2008, nr 7, s. 198.

¹⁶ D. Kortko, *Cześć pracy – krótka historia śląskiej doli*, „National Geographic” 9 grudzień 2009. Dostęp on-line 15 lutego 2011, godzina 16.39, na stronie internetowej: <http://www.national-geographic.pl/drukuj-artykul/czesc-pracy-krotka-historia-slaskiej-doli/>.

¹⁷ Tamże.

Anegdota jest rzeczywiście prosta i bezproblemowa, jak *szola kero jeździ ino góra-dól* – zawsze trafia do celu¹⁸. Czemu jednak nikt w patrzeniu na instytucje śląskich *wultzhausów* poza ową anegdotę nigdy nie wyszedł? Dlaczego nie doczekaliśmy się do tej pory fenomenologicznego (socjologicznego? psychologicznego?) opisu zjawiska, które dotknęło kilkuset tysięcy tłum ludzi zamieszkujących tę ziemię w wieku XX, pozostanie dla mnie nierozwiązaną zagadką. Być może stało się tak dlatego, iż los *werbusa i gorola* – podobnie jak los pułkownika Massouda Behraniego, perskiego emigranta politycznego w USA i bohatera powieści Andre Dubusa, od którego pożyczam motto niniejszego szkicu – znajduje swój epilog zbyt często w tragicznym niezrozumieniu, odrzuceniu i szyderstwie? W innych wypadkach – w dojmującym poniżeniu, skutkującym zwykle utratą „duchowego kręgosłupa”. I jako taki – los ów – mało kogo zajmuje, może z wyjątkiem samego zainteresowanego. Oddajmy zatem na koniec głos pobożnemu słudze Szachinszacha:

(...) podczas wielu nocy następujących po wielu długich dniach w Ameryce nie pamiętałem o Bogu i myślałem wyłącznie o swoich kłopotach, o zajęciach, do których wykonania zostałem tutaj zmuszony, o zajęciach, których w moim dawnym życiu nie wyznaczyłbym nawet podległemu sobie żołnierzowi. Tutaj pracowałem przy puszgowaniu pomidorów, w automyjni, magazynie meblowym, na parkingu, na dwóch stacjach paliwowych, a w końcu w wydziale autostrad i w sklepie ogólnym. Tak, zarobiłem dosyć, (...) ale realizując każdy czek, czułem się tak, jakby mi ubyła jedna kość czy mięsień na grzbiecie spośród tych, których człowiek potrzebuje, żeby stać prosto¹⁹.

¹⁸ Oczywiście owych „wersji anegdotycznych” – potwierdzających linie nieusuwalnych podziałów i definiujących granice sąsiedzkich animozji – możemy przytoczyć tu o wiele więcej. Jedną z częstszych „wojennych narracji” osnuta jest wokół tematu różnie pojmowanej „czystości”: „Nie wiadomo, co gorsze, chować samej dziecko i nie przyznawać się, kto jest ojcem, czy wyjść za wulcoka. Gdyby dziewczyna z Gieschewaldu albo Nickischschachtu poszła za wulcoka, narobiłaby wstydu całej rodzinie i sąsiedztwu. Wulcoki, którzy przybyli tu po zarobek gdzieś z terenów oznaczonych na mapach jako Russland albo Oster-Reich, nie używają szczoteczki do zębów, chodzą w niedzielę w tym samym co na co dzień, podczas gdy u Wróblów, Badurów, Kasperczyków, Kilczanów już w piątek przyszykowana jest świąteczna kupka ubrania dla każdego dorosłego i dziecka – to włoży Albert, to Paolek, to Trudka”. Por. M. Szejnert, *Czarny ogród...*, s. 75.

¹⁹ A. Dubus, *Dom z piasku i...*, s. 59.